

Władysław Graban

poeta, przedstawiciel współczesnej literatury lemkońskiej

Dobry pasterz

Przed jego wzrokiem otwierał się leśny parów porośnięty kępami sitowia i drobnych krzewów, pośród których świeciły błotniste kałuże wypełnione wodą. Znaczyły miejsca kąpielisk dzików; pozostały tam ślady racic i krągłe odleżyny w torfowym błocie, gdzie zagłębiały swoje cielska. Patrzył na nie i wyobrażał sobie jak wiele radości sprawić mogło dzikom tarzanie się w upalny dzień. Lubił zwierzęta.

Ściana parowu pokryta była siwymi olbrzymami buków, skrajem bieleły się brzozy na tle smukłych jodeł wysoko podnoszących iglaste głowy. Dostrzegał wśród muskularnych ramion buków wyraziste kształty postaci ludzkich, kształty zwierząt zamkniętych w zgrubieniach pni, w zarysowanych rozłożycie konarach. Czaiły się do skoku, ale nie bał się ich. Otwarte oko dziupli spoglądało w jego stronę tworząc złotą aureolę wokół ciemnej wnęki, ukrywało przed światem własne tajemnice.

Pomyślał wówczas, że piękno, doskonałość, kryje się w leśnych ostojach, w miejscach gdzie człowiek dotąd nie ingerował. Przecież te potężne drzewa uformowane naturą, żyte z przeciwnościami jakie niesie kalendarz roku, same w sobie są doskonałością. Dostojne stoją na piedestale zbocza, tworząc galerię sztuki. Wystarczy przyjść, pokłonić się w milczeniu i rozmową duszy sycić oczy spełnieniem.

Podszedł bliżej do krępych pni, wyciągnął dłoń jakby chciał nakarmić niewidzialną postać i poczuł na niej chropawe liźnięcie języka. Wilgotna kora drzewa przylgnęła do dłoni i zdawało się, że czuje lekki puls pnia, soczyste wnętrza drzewa. Wówczas przywrócił pamięci tamten wieczór, kiedy będąc na przymusowych robotach w Niemczech doznał podobnego uczucia. Zwaloną wiatrem gruszę bauer kazał porąbać na opał... Nim to uczynił, ukradł z soczystego pnia duszę drzewa - niewielki, odpiłowany kawałek klocka. Pieścił go wtedy z wielką czułością i ukrył w ustronnym miejscu. Kiedy nadarzyła się okazja, zamknięta dusza pnia zamieniła się pod jego silnymi dłońmi w jeźdźca na koniu. To były narodziny pierwszej rzeźby Grzegorza Pecucha. Jeźdźcem był on sam.

Dzisiaj ten zaczarowany koń z gruszkowego drewna poniosł go do leśnego ostępu, na zbocze Kyczery nad Florynką - po tylu latach, po wojennej tułaczce, paśmie wyrzeczeń, wreszcie sukcesów, dziś.

Spogląda na wieżę cerkiewną w dolinie. Chodził tam będąc chłopcem. Pamięta ruskich świętych Włodzimierza i Olgę kniahynię i Łemków co tu przed laty żyli. W rodzinnej wiosce nie ma znajomych, tylko na miedzach rosną drzewa jego rzeźb. Są tak z pozoru proste, kudłate łby niosą i mają dusze wygnanych - piękne choć skryte wnętrza. Kotek o łaskawym spojrzeniu i dumnie stojące na skraju polany jelenie. Opodal sadyby wiejski kundel, ni to szczeka, ni przywołuje merdając ogonem. Zza starych dębów pradziad z jednym skrzydłem anioła kroczy na jednej nodze (i na pewno też w jednym kierpcu), rzucając gniewne spojrzenia. W zdziczałym sadzie rodzinnie matka i córka gwarzą wypatrując powrotu ojca. Choć strojne w odświętny ubiór, niepokój maluje im twarze. Na łące baran dźwiga harde czoło, a niby taki z niego kłębuszek. W zboczku otwiera swe serce krynica - toczy wody dłońmi caryny, zmierza do Białej, która głośno szemrzy. Mija figurę Matki Bożej przepelnionej bólem o swe dziecię.

Schodzi z gór Pecuch, a za nim świat jego stąpa powoli, idzie las drzew, las zwierząt i świętych, a światło kosmosu nieme bóstwo czuwa nad nimi. Strącony anioł w diabłą wpada skórę i w równym rytmie w szereg ów dołącza. Idą razem Anioł Stróż i Szatan, jeleń, ryś i domowy kundel, i święty z dziupli wystawia głowę. Schodzą ku rzece Białej w noc świętojańską. Za nimi dobry pasterz kroczy zboczem - Pecuch.